



O co właściwie chodzi w nauczaniu bioetyki?

Anna Szczęsna

Odpowiadając na moje zarzuty Marek Olejniczak *implicite* poruszył bardzo ważną kwestię, którą podjął następnie Marcin Waligóra: o co właściwie chodzi w nauczaniu bioetyki?

M. Olejniczak pisze; „Jeśli bioetyka nie jest nauką [a więc poznaniem nakierowanym na prawdę przyp. - AS] lecz tylko ‘teoretyczno-praktycznym projektem urządzenia świata medycyny’, to nie powinna być wykładana (jako nauka) studentom, ani tym bardziej nie powinno się w jej obrębie przyznawać jakichkolwiek stopni naukowych”. Cóż, w takim razie nie powinno się również wyklądać sporej części filozofii i przyznawać niektórym filozofom stopni czy tytułów naukowych. Pewnie na liście proskrypcyjnej znalazłby się i John Rawls (który przecież otwarcie deklarował, że sprawa prawdy w etyce go nie interesuje), nie mówiąc już o Nietzschem.

Sądzę (moją opinię uprzejmie przywołuje K. Szewczyk w swoim wprowadzeniu), że jest kilka celów akademickiego nauczania bioetyki: przedstawienie studentom pełnej i wielostronnej historii najważniejszych kontrowersji bioetycznych, zapoznanie ich z najważniejszymi regulacjami bioetycznymi i prawnymi, a wreszcie – pomoc w podejmowaniu decyzji oraz kształtowaniu wrażliwości i tożsamości moralnej. Z pierwszymi dwoma nie ma problemu, gdyby się do nich ograniczyć, mielibyśmy bioetykę opisową, porządną naukę. Ale jest jeszcze trzeci i czwarty, z którymi wiążą się niebezpieczeństwa indoktrynacji i fałszywej neutralności, o której pisałam w mojej pierwszej wypowiedzi w tej dyskusji.

Nawet jeśli wszystkie te cele w jakimś stopniu przyświecają każdemu nauczaniu bioetyki (no, może poza przedszkolem), to relacja między nimi jest inna. Dlatego - a nie tylko ze względów metodologicznych - o czym pisze profesor Barbara Chyrowicz - nauczanie studentów medycyny różni się - moim zdaniem zdecydowanie - od nauczania studentów prawa, nie mówiąc już o studentach filozofii. Pamiętajmy, że studenci medycyny bardzo szybko znajdują się w sytuacjach, w których będą współuczestniczyć (przynajmniej milcząco) w podejmowaniu decyzji bioetycznych. Ten los nie czeka wszystkich studentów prawa, nie mówiąc już o studentach filozofii, dla których rozważanie kontrowersyjnych kwestii bioetycznych może pozostać tylko nieangażującym ćwiczeniem dialektycznym, bez bliższego związku z doświadczeniem życiowym czy zawodowym. Między celami uczenia bioetyki istnieje również pewne napięcie. Otóż studenci medycyny oczekując od bioetyki pomocy praktycznej w podejmowaniu decyzji (o tym pisał K. Szewczyk i M. Waligóra), poszukują gotowych algorytmów, zwracając się do już przyjętych regulacji i rozwiązań. Może wiązać się z tym tendencja do zasadniczego zrzucania z siebie odpowiedzialności i postrzegania moralności jako quasi-prawa. („Po co ta dyskusja? Chcę tylko wiedzieć, jak sprawę rozstrzygnęło prawo albo kodeks etyki lekarskiej. Oni wiedzą lepiej, a w ogóle to nie mam zamiaru się narażać.”). Dlatego dydaktycznie i strukturalnie ich nauczanie powinno być inne. Między innymi dlatego, mimo wszelkich niedoskonałości kazuistyki (na co zwraca uwagę Andrzej Muszala), a czasami nawet jej mizerności filozoficznej, dyskusowanie przypadków jest najlepszą metodą bioetycznego edukowania studentów medycyny.